



M A R I U S Z C Z U B A J



Prolog

Nie przypominał sobie takiego lata. Nikt sobie nie przypominał.

Siedział w barze sam. Żaden podróżny dziś się jeszcze nie zatrzymał. Nic dziwnego. Każdy, kto był zmuszony do podróży, chciał pokonać trasę jak najszybciej, zanim samochód zamieni się w rozgrzaną do czerwoności puszkę.

Spojrzał na kalendarz. W taki upał można stracić rachubę czasu. Zerknął, jakby jeszcze chciał się upewnić, na wyświetlacz telefonu. Zresztą nie miał nic lepszego do roboty. Był czwartek. Zbliżało się południe. Nie było czym oddychać.

Byle do jutra, pomyślał. Byle wytrwać jeszcze jeden dzień. I zacznie się szaleństwo. Ostatni weekend wakacji. Fala powrotów i rozwrzeszczanych dzieci, udręczonych matek i ponurych ojców, którzy zatrzymają się na ostatnią w sezonie mazurską rybkę. I pizzę. Z myślą o dzieciach poszerzył asortyment i nauczył się swoimi ogromnymi łapskami wyrabiać ciasto. Posłucha kilku drobnych

sprzeczek i uciszy jedną większą awanturę.

Ale to się zacznie dopiero za jakieś dwadzieścia godzin. W takie dni, gdy powietrze stoi bez ruchu i miesza się z lepką nudą, muchy śpią w ukryciu, a każde stworzenie szuka schronienia, żałował, że przeniósł się z Wybrzeża. Tam nigdy nie czuł takiego skwaru. Andrzej Polak. Zapaśnik, waga ciężka, nawet dziś bez problemu znalazłby pracę w dowolnym klubie. Tak. Z takim doświadczeniem i wiedzą o nocnym życiu. Sięgnął po ścierkę i bardziej dla zabicia czasu niż z potrzeby przeleciał nią po kontuarze z drewna o kasztanowym odcieniu. Wspomniał stare dobre czasy, które nagle się skończyły. Pewnego dnia Andrzej Polak zwariował. Znaczy: zakochał się. Za kobietą pojechał. Przyjechał tutaj. I tu już zostali. Na dobre, na złe, a najczęściej przeciętne. I z tym barem szumnie zwanym karczmą. Czasami, prawda, zdarzała się inna robota. Ktoś prosił o pomoc. Właściwie zawsze ten sam człowiek. I wtedy przydawały się zapaśnicze umiejętności. Ale w ostatnich latach korzystano z jego usług coraz rzadziej. Zresztą co się dziwić. Może uznali, że się zestarzał. A poza tym do Wielbarka, gdzie mieszkał, kilka kilometrów, a do Szczytna to już kawałek. Jak trzeba, mają chłopaków na miejscu.

Radio cicho grało i podawali wiadomości. Kobięcy głos przypominał, żeby dbać o uzupełnianie płynów, a starszym ludziom zalecał pozostanie w domu. Rekordowe temperatury odnotowano w kolejnych województwach. Poziom wody w Wiśle nigdy nie był tak niski. Mówili, że są miejsca w Warszawie, gdzie można przejść przez rzekę.

Z dna wydobywano kolejne znaleziska, zdaje się, że natrafili nawet na coś sprzed pierwszej wojny. Mnóstwo jakiegoś złomu. Akurat tu, w okolicach Wielbarka i Szczytna, było tak samo. Zawsze, odkąd pamiętał, szukano tu złotych monet i wieszono za rublami generała Samsonowa, ale nigdy tak jak teraz. Takiej gorączki rosyjskiego złota nigdy nie było. Poszukiwacze czasem zajeżdżali tu do baru, z aparaturą do wykrywania metali, z którą nie roztawali się na krok, podnieceni, niektórzy z obłędem w oczach, a jeszcze inni z pozołkłymi od słońca i powycieranymi do cna mapami z czasów pierwszej wojny. W lipcu zahaczyli tu rycerze spod Grunwaldu. Kawalek drogi. Teraz nazywają się grupami rekonstrukcyjnymi. Głupiej się nie da. Zresztą co to niby ma znaczyć. Dwa tygodnie po nich wąsaci kowboje udawali się na Piknik Country.

No, powiedzieć nie można, czasami i tu się coś działo. Ale nie w takie dni jak dziś. Teraz w radiu mówili o uchodźcach. W Austrii znaleziono ciężarówkę pełną trupów. Skrzywił się. Ci, co ją otworzyli, mieli niezły widok. I zapach pewno też. Na całe życie. Uznał, że dłużej nie wytrzyma. Odwrócił się i włączył wiatrak. I wtedy skrzypnęły drzwi.

Chwilę trwało, zanim podróżny przyzwyczał się do panującego w środku mroku. Na zewnątrz oślepiało go słońce, tu było prawie jak w ciemni fotograficznej. Rozejrzał się. Wszystko w drewnie. Nieco jaśniejsze ławy i krzesła,

ciemniejszy bar. Surowe wnętrze i prostota. Żadnych obrusów i kwiatków mających uprzyjemniać konsumpcję. Nikt takimi detalami tu się nie przejmował. Na ścianie kalendarz Węglizbytu, z potężnym frachtowcem, tuż obok płyty winylowej i koperty. Podszedł bliżej. Krzysztof Klenczon i Trzy Korony. Jak to szło? *Wróćmy nad jeziora?* To chyba on napisał. Tylko że z Czerwonymi Gitarami. Wjazd do Szczytna ozdobiono gitarą, podobizną muzyka i informacją, że to „miasto Klenczona”, więc wszystko się zgadzało.

Mężczyzna się nie spieszył. Był jedynym gościem. To już zdążył zauważyć. Odwrócił się i podszedł do baru. Spojrzał na barmana i przeniósł wzrok na menu w plastikowej koszulce.

– Ale upał, co? – usłyszał. – Jak pan to znosi, bo ja...

Karczmarz najwyraźniej był spragniony rozmowy. Inaczej niż podróżny.

– No dobrze, co dla pana, znaczy... przepraszam, dla księdza?

W pierwszej chwili nie spostrzegł koloratki. Dość dziwnie to wyglądało. Mężczyzna był niższy od niego o głowę, miał hiszpańską bródkę. Koszula khaki, bojówki, coś w stylu piasku pustyni, tak chyba na to mówią, i bejsbolówka. I koloratka. Dziwna kombinacja.

– Poproszę tyskie. Czy ja – mężczyzna wskazał na okno – mogę usiąść tam na zewnątrz pod parasolami? Czy to do konkurencji należy?

Andrzej Polak uśmiechnął się i położył na blacie potężne

dłonie. Rozcapierzył palce i lekko się pochylił, jakby pragnął wyznać sekret.

– Tu już nie ma żadnej konkurencji. – Z naciskiem na „już”. Wyprostował się. – Może ksiądz tam, ale lepiej zostać w środku. Na powietrzu nie da się wytrzymać. Tam to już całkiem jak w Dolinie Śmierci.

Nalewając piwo, wyrżał przez okno. Dziwne, pomyślał. Ksiądz, jedzie samochodem i pije. Samo w sobie nie jest to takie dziwne, przecież czarny też człowiek i napić się lubi, ale jeden browiec w taką pogodę to jak ze trzy w zwykły dzień. Człowiek jest ugotowany od razu. Dziwne było jednak to, że nie zauważył auta. Nie było go na podjeździe. Może postawił gdzie indziej? Bo jak by się tu dostał? Rowerem, jak księżulo z serialu? Wszystko jedno, przecież i tak nie ma tu skrawka cienia. Zresztą nie jego sprawa. Klient to klient. Nawet ksiądz.

Usłyszał zamówienie. Pizza z salami. Mówisz, masz.

Skinął głową. Tym razem się nie odezwał. Drogą przejechała ciężarówka wyładowana drewnem z wielbarskiego tartaku. W radiu piosenkarka obiecywała, że na ciele rozmaże z łez tatuaże. Taki przebój. Wart tyle, co i całe to lato. Łopatki wiatraka furczały, a ich odgłos skojarzył mu się z odgłosem wydawanym przez zastygłą w powietrzu ważkę.

Postawił pizzę przed księdzem.

– A o tych nowych podsłuchach słyszał ksiądz? – Nie wytrzymał jednak. – A co tam – machnął ręką – ksiądz to się swoje nasłucha. W konfesjonale.

Mężczyzna nie odpowiedział. Siedział z głową wspartą na rękach i wpatrywał się w stół.

– Smacznego – burknął karczmarz.

Wzruszył ramionami i ruszył za bar. Gbur. Znał takich. Siedzą cicho, a potem robią zadymę w lokalu i trzeba ich kopniakami wypraszać. Znów zerknął na wyświetlacz telefonu. A potem uniósł głowę. Popatrzył na pierwszego i jedyne tego dnia klienta. A następnie przeniósł wzrok na talerz z pizzą, który wylądował na kontuarze.

– Coś – wskazał palcem – z nią nie tak?

– Czy Henryk Koenig też jada tu pizzę? – usłyszał ciche pytanie. – Je za darmo?

– Kto?

– Jak to kto? Henryk Koenig. Przecież powiedział pan, że tu – ksiądz powiódł ręką – nie ma żadnej konkurencji. To znaczy, że tu wszystko musi należeć do Koeniga. Tu i tam. I tam za Szczytnem też.

Barman nie odpowiedział. Czuł, jak tężeje mu twarz. I mięśnie. Jak wieczorami w klubach na Wybrzeżu, gdy trzeba było zaprowadzić porządek.

Ksiądz sięgnął do bocznej kieszeni bojówek. Wyjął zawiniątko w serwetce, jaką dostaje się do hot doga na stacji benzynowej.

– A czy temu Koenigowi nie zaginęli ostatnio jacyś ludzie? Nie znikają tu wam ludzie?

Barman zamrugął. A następnie powoli wsunął rękę pod blat. Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Nie było sensu czekać. Pod kontuarem trzymał kij bejsbolowy.

I siekierę. Był pewien swojej siły i umiejętności, ale zawsze dobrze mieć coś przy sobie. Zacisnął palce na trzonku.

Książd chrząknął. Bardziej była to oznaka dezaprobaty niż ostrzeżenie. Nieznacznie pokręcił głową. Wpatrywał się w karczmarza nieruchomymi brązowymi oczami.

Było w tym spojrzeniu coś, co sprawiło, że Andrzej Polak zmienił zamiar.

– Powiada święty Jakub, męczennik zresztą: „Jeżeli przeto zakładamy koniom wędzidla do pysków, by nam były posłuszne, to kierujemy całym ciałem”. I dalej mówi tak: „Języka natomiast nikt z ludzi nie potrafi okiełznać, to zło niestateczne, pełne zabójczego jadu”*. Przyznaję, też miałem kłopot, by się z tymi trzema dogadać.

Położył zawiniątko na pizzy.

– Więc gdy Koenig przyjedzie coś zjeść, podaj mu razem z tym. Nigdy czegoś takiego nie jadł. Zapewniam.

Ruszył do drzwi.

Andrzej Polak trwał bez ruchu za barem. Ubranie przylgnęło do ciała, a podmuch wiatraka spowodował, że pierwszy raz tego dnia poczuł chłód. Nie odczuł jednak ulgi.

Odpakował zawiniątko i wpatrywał się w zawartość.

Usłyszał odgłos odpalanego silnika.

Poczuł, że się trzęsie. Był górą mięśni, która w jednej chwili rozpadła się i przemieniła w galarete.

Jak on to powiedział? „Zło niestateczne, pełne zabójczego

* List św. Jakuba 3,3 oraz 3,8. Ten i inne cytaty z Biblii za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Pallottinum, Poznań–Warszawa 1990.

jadu”.

Zrozumiał, co widzi przed sobą. Na serwetce leżał ludzki język.

Leżało coś, co kiedyś było ludzkim językiem, a stało się kawałkiem mięsa.

A potem sięgnął po telefon i przewinął wybieranie numerów do litery „K”.

Zbudził mnie jakiś odgłos. Leżałem bez ruchu.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem, ale w drugiej już tak. Poruszyłem głowę i syknąłem. Zmrużyłem oczy, a ból przywrócił mi pamięć, choć nie powinien.

Wbrew temu, co sądzą specjaliści od duszenia, podtapiania i zrywania paznokci, tortury nie aktywizują hipokampu. Uaktywniają za to rdzeń, który odpowiada za instynkt przetrwania. Człowiek wymyśla niestworzone historie, byle tylko przeżyć i wydostać się z zakłętego kręgu bólu. Generuje fałszywe wspomnienia. Konfabuluje. A w tym akurat jestem dobry. Poza tym trzeba mieć odrobinę szczęścia i najwyraźniej miałem farta.

Przypomniałem sobie swój PESEL, imię i nazwisko. Marcin Hłasko. Urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Przynajmniej wiele na to wskazywało. Wielbiciel przygód ekstremalnych.

Pierwszą rzeczą, którą sprawdziłem, były ręce. Całe i nieskrępowane. Nóg też mi nie związali. Nie było źle. Mój powrót z za grobu musiał nawet na takich ludziach, a może

zwłaszcza na nich, zrobić wrażenie. Na pewno byli ciekawi, dlaczego znów ładuję się w paszczę lwa. Przecież wszystko wskazywało, że będę martwy. Zdecydowanie martwy.

Powoli usiadłem. Wzrok się już nie rozjeżdżał, a mdłości ustąpiły. Rozejrzałem się wokół. Trafiałem już w miejsca o wyższym standardzie. Ułożono mnie w niedużym pokoju, na który przeznaczano resztki farby. Część zamalowano białą, spod kawałka ściany wзираł seledyn, w innym miejscu zgniła zieleń. Na suficie jarzeniówka. W rogu umywalka, a nad nią nadtłuczone i zaśniedziałe lustro. Nade mną niewielkich rozmiarów okno. Nawet stąd widziałem, że jest wypaczone. Zimą musi tu hulać wiatr. Wszystko było tu jakieś stare, niedzisiejsze i sam czułem się tu jak rupieć. Rzucono mnie na coś, co w przypiływie dobrej woli z dziesięć lat temu można by nazwać materacem. Poza tym w pomieszczeniu nie było nic. Musiało starczyć dla takich gości jak ja. Bo pewnie nie byłem tu pierwszy.

Usłyszałem ten sam dźwięk co poprzednio. Rżenie konia. Zbudziło mnie rżenie koni.

Zwlokłem się z materaca i stanąłem przy oknie. Ciemnoczerwone smugi słońca wskazywały, że zbliżał się wieczór. Ile przeleżałem? Niepełną dobę? Dwa dni? Był wrzesień, ale jaki jest dzień. Wtorek? Czwartek? Straciłem rachubę czasu. Odruchowo spojrzałem na przegub lewej ręki. Mogłem podziwiać biały ślad w miejscu, gdzie zwykle znajdował się pasek zegarka. Pomacałem boczne kieszenie. Były puste. Telefon mi zabrali. Pistolet oczywiście też. Nawet jeśli przejrzeliby komórkę, nic ciekawego tam nie

znaleźli.

Szyba była upstrzona szczątkami owadów, których nikt nigdy nie zeszkobał i pewnie już tego nie zrobi. Okno wychodziło na wybieg dla koni. Chłopak prowadził masywnego siwka na lonży. Zdaje się, tak to się nazywa. Nie znam się na tym. Drugi mężczyzna, znacznie starszy, stał wsparty o ogrodzenie i przypatrywał się. Po wybiegu biegały jeszcze luzem dwa konie z czarnym umaszczeniem. Oba zbliżyły się do ogrodzenia i wysunęły łby w stronę starego, jakby spodziewały się nagrody. Podbiegł pies, ten sam, którego już widziałem, i zaczął się łaścić do mężczyzny. Kilkadziesiąt metrów za ogrodzeniem, tam gdzie rozciągało się już pole, stało coś, co mogło być amboną myśliwską albo prowizoryczną wieżyczką strażniczą. Równie dobrze można stamtąd strzelać do dzika lub sarny, co ustrzelić nieproszonego gościa. Przy ambonie wygrodzono jeszcze jeden wybieg, ale ten był pusty. Wychyliłem się w prawo i zdaje się, że mignął mi brzeg jednego z jezior. Na wprost rozciągała się linia lasu. A potem zaczynał się bezkres drzew. Gdzieś tam miałem wczoraj umrzeć. A może jednak przedwczoraj.

Podszedłem do umywalki. Spojrzałem w resztki lustro. Szału nie było. Odkąd się tu znalazłem, nie kwalifikowałem się na okładkę „Esquire’a”. W najlepszym razie wzięłby mnie jakiś magazyn dla survivalowców. Podkrążone oczy. Grudki ziemi wczepione w brodę i włosy. W dwóch miejscach zarost skleiony krwią. Usta napuchnięte. Wyglądałem jak ofiara ataku całej rodzinki Mansona.

Jakbym nagle postarzał się o piętnaście lat. Językiem sprawdziłem przednie zęby. Były całe i nienaruszone. Nos spuchł i bolał przy dotknięciu. Odkręciłem wodę. Coś zaszumiło, a potem trysnęła rdzawa maź. Poczekiałem dobrą minutę, aż spłynie, i opłukałem twarz. Zdjąłem śmierdzący T-shirt, lepki od potu i strachu. Zarzuciłem na ciało flanelową koszulę, też nie pierwszej świeżości. Dłuższą chwilę stałem nieruchomo, aż uznałem, że jestem gotów zmierzyć się ze światem.

Otworzyłem drzwi. Korytarz był krótki. Po lewej stronie kończył się solidnymi drzwiami pokrytymi brązową farbą i zamkniętymi na jeszcze solidniejszą kłódkę. Po prawej, trzy kroki ode mnie, znajdowały się schody. Poruszałem się po ciemku w dół, naliczyłem osiem schodków, potem skręt w lewo i jeszcze siedem skrzypiących stopni. Umieścili mnie w bocznym, nieużywanym skrzydle, tyle wiedziałem. Oczywiście zdążyły przyzwyczać się do mroku, zanim dotarłem do kolejnych drzwi. Nacisnąłem klamkę. Oślepiło mnie słońce. Zamknąłem oczy i znów łupnęło mi w głowie. Wziąłem kilka głębokich wdechów, sprowadziłem żołądek na właściwe miejsce i wciągnąłem w nozdrza zapach rozgrzanego powietrza.

Rozejrzałem się. Nie miałem powodu, by się spieszyć. Zresztą nie chciałem się spieszyć. A poza tym byłem pewny, że każdy mój krok jest obserwowany.

Trzy konie wciąż były na wybiegu. Tym razem wszystkie luzem. Zwróciły łby w moim kierunku. Siwy zarżał. Chłopaka i tego starego nie było. Zza węgła dobiegał inny

dźwięk. Głuchy, rytmiczny odgłos rąbania drewna. Poszedłem w tamtą stronę. Raz jeszcze głęboko wciągnąłem powietrze. Zapach ziemi, palonego gdzieś ogniska i końskiego łajna. Idealne miejsce dla fanów agroturystyki. A jako bonus, drodzy państwo, nasz ośrodek proponuje uprowadzenia, talibańskie tortury i zakopywanie żywcem. Wszak jesteśmy w Starych Kiejkutach.

Spłunąłem na ziemię. Jebać taki dom nad rozlewiskiem.

Mężczyzna stał plecami do mnie. Szczupły, żylasty, ani grama tłuszczu, krótkie siwe włosy. To ten starszy, którego widziałem przez okno. Naprzeciw górował sztapel drzewa, równiutko porąbanego, umieszczonego na drewnianych podkładkach, a od góry chronionego zadaszaniem. Pocięte, poukładane drewno przypominało armię podczas defilady. A na środku placu stał sam wielki wódz z pieńkiem i siekierą.

Podszedłem i staliśmy teraz w jednej linii, zwrócenie w tę samą stronę. Obaj milczeliśmy.

– Jaki dziś mamy dzień? – zapytałem w końcu.

Nie przerwał pracy. Palce lewej ręki zaciśnięte na kłodzie, kciuk schowany, ruchy były wyćwiczone, prawa ręka unosiła się rytmicznie i opadała. Szczapy odłupanej brzozy nie odskakiwały chaotycznie na wszystkie strony, tylko lądowały blisko pieńka, i to też świadczyło o dużej wprawie. O wypracowanej latami ekonomii ruchów i wysiłku. Dało się wyczuć zapach rąbanego drewna, choć nie tak intensywny jak wiosną, gdy rozchodzi się woń soków albo

żywicy.

Drwał oparł siekiere o pień, otarł pot z czoła i wyprostował się. Miał twarz poraną bruzdami widocznymi pod ciemnym zarostem. Jak na faceta po sześćdziesiątce, tak go oceniłem, trzymał się świetnie. Chciałbym w jego wieku być w takiej formie. O ile dożyję.

– Taki dziś dzień jak i wczoraj. – Wpatrywał się we mnie uważnie. Podbiegł popielaty kundel, trącił mnie mokrym nosem i polizał w rękę. Pogłaskałem psa. Przynajmniej ten mi nic nie robi.

Twarcz mężczyzny przecinał grymas ni to niechęci, ni akceptacji. On także pogłaskał psa, cmoknął, znów spojrzał na mnie i pokręcił głową.

– Wiem, że nie wyglądam najlepiej – powiedziałem – ale miałem trudny wieczór. Nie wiem tylko, czy ostatni, czy przedostatni...

– Nie wiem, jaki miał pan wczorajszy wieczór. Nie było mnie tu. Ale pewnie należało się panu. Tamtemu zresztą też – dodał ciszej.

A więc to było wczoraj. Wieści o nocnych wydarzeniach szybko się rozeszły. Nie zdziwiło mnie to za bardzo.

Wziął kolejne polano i postawił na pieńku. Sięgnął po siekiere. Spojrzał na mnie spode łba. Ten sam grymas co poprzednio, jakby facet dojrzewał do jakiejś decyzji. Wylał obie dłonie o koszulę.

Ale najpierw poszedł do drewnutni i wrócił z drugą

siekierą. Pierwszy raz widziałem taką. Głowica przypominała dłuto zakończone z jednej strony jakimś dziwnym bolcem.

– W Finlandii takie cudo wynaleźli – wyjaśnił. – Sześć kupił, bo powiedział, że trzeba mieć coś takiego. Ale to wszystko pic na wodę. Prawdziwa siekiera to ta. – Chwycił trzonek narzędzia, którego używał wcześniej. Wyglądał z nią jak mąż z żoną. Zgodne małżeństwo po pięćdziesięciu latach pożycia. – Wiesz, dlaczego rąbię teraz drzewo? Nie muszę. – Powiodł ręką po sztaplu. – Drewna pod dostatkiem. To nie jest pora na robienie składu i sezonowanie drzewa. – Nie czekał, aż odpowiem. – Rąbię, bo jest to najprostsza robota na świecie, która wyglądała tak samo tysiąc lat temu, dwieście, sto i tak samo wygląda teraz. – Przy każdym słowie odłupywał kawałek. – I tak będzie do końca świata. Bo to robi z nas ludzi. A nie to, co wy tu wszyscy robicie. – Wziął kolejną brzozę. – I nie ma bujania w obłokach. Uderzasz i – pokazał na szczapy – jest rozłupane. I już nie ma odwrotu. – Siekiera znów poszła w ruch. – Trzeba być sobą. A wy – spojrzał na mnie – udajecie. Wszyscy tu kogoś udajecie. To się źle skończy. – Przerwał rąbanie. Uniósł głowę. – Nie powinno tu pana być.

Usłyszałem czyjeś kroki i odwróciłem się.

Pięć metrów od nas stało dwóch osiłków. IQ trzy i IQ cztery. Ten o twarzy zdradzającej hemoroidalne cierpienia i podobny do niego mastodont.

– Zaczniemy od tego, że przywalicie mi na dzień dobry z lewej czy z prawej? Tylko sami widzieliście, jak się to kończy. – Ostrzegawczo uniosłem palec.

Nie odpowiedzieli. Wiedziałem, że dziś mnie nie uderzą. Mało tego. W ich zachowaniu dawało się wyczuć trochę dystansu i coś na kształt szacunku. To, co stało się z ich szefem, nawet na takich troglodytach musiało zrobić wrażenie. Nie podeszli do mnie bliżej niż na trzy kroki. Czuli, że muszą być ostrożni, bo mają do czynienia z psychopatą. Regularnym psycholem już nie na uwięzi, ale na wolności. W ich zachowaniu odczuwało się respekt i coś więcej. Niepewność i strach to kombinacja upokarzająca nawet dla takich palantów.

– Idziemy – powiedział IQ trzy. – Pan Koenig chce się z tobą widzieć.

Ruszyliśmy. Jeden szedł przede mną, drugi za mną. Gęsiego minęliśmy pomieszczenia gospodarcze kryte falistym dachem i jakąś rupieciarnię. I jeszcze murowany budynek, który mógł być wolno stojącym garażem. Przeszliśmy obok stajni. Trąciłem nogą walające się puste wiadro. Nie miało dna. Ten o hemoroidalnym obliczu odwrócił się w moją stronę.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

– Błagam, nie patrz tak, bo cały się trzęsę. Poza tym bałagan tu w obojętności. Moglibyście posprzątać. Robota w sam raz dla takich parobków jak wy.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu. Zastanawiałem się, czego chce ode mnie Koenig. Jak to rozegra? Przeżyłem. I musiało go zastanowić, dlaczego zdecydowałem się na powrót. Powinienem był uciec i jak najszybciej zapomnieć, że kiedykolwiek tutaj byłem. Zafundować sobie terapię

u najlepszego warszawskiego psychologa i wymazać z pamięci wczorajsze przeżycia. Tymczasem wróciłem. Z niecodziennym prezentem. I powiedziałem coś, co okazało się prawdziwą przynętą. Haczykiem, którego nie mógł nie chwycić.

Weszliśmy do domu. Minęliśmy kuchnię, jadalnię i dwa kolejne pomieszczenia. Drzwi do jednego z nich były uchylone. Pusta przestrzeń z rzeźniczym hakiem wbitym w kafelki. Czułem, że mięśnie znów mam napięte. Nie chciałem trafić tam jeszcze raz, tyle że w tej chwili zależało to ode mnie i tego, jak wszystko rozegram. Znajdowaliśmy się w dłuższym skrzydle. Liczyłem. Trzydzieści kroków w linii prostej. Jakby co, nie ma szans, by dobiec do drzwi bez kuli albo śrutu w plecach. Dobrze wiedzieć.

Koenig nie był sam.

Siedział rozparty w fotelu. Przy otwartym oknie stał mężczyzna. Od razu było widać, że coś jest z nim nie tak. Gdy nas zobaczył, zaczął się trząść. Wiek trudny do określenia. Są takie przypadki, że możesz dać takiemu trzydzieści, ale równie dobrze pięćdziesiąt lat. Płowe, przerzedzone włosy, trójkątna twarz, wytarte dżinsy i podkoszulek na anorektycznych ramionach. I wielkie przerażone oczy.

– Skoro już zostałeś z nami, Hłasko, to mam do ciebie dwie sprawy – zaczął Koenig. W palcach obracał szklanekę z jakimś płynem.

– Jeśli chcesz, żebym pognał po mieszaśedko z parasolką – wskazałem na drinka – to poślij któregoś z tych

bystrzaków. – Kiwnąłem na dwóch jaskiniowców.

Wydął usta.

– Nie o to chodzi.

– To najpierw ja mam sprawę. Czy możesz oddać mi komórkę i zegarek? Nie jest dla ciebie wiele wart, a dla mnie, sam rozumiesz...

Upił łyk. Poruszył zuchwą w lewo i prawo, jakby ten ruch miał mu pomóc w podjęciu decyzji. Zza okna dobiegał uporczywy jazgot owadów. Dopiero teraz go usłyszałem.

– Komórka leży na stole. Zegarek... Wiesz gdzie. Idź, weź sobie.

Podszedłem do kredensu z rzeźbionymi myśliwskimi motywami. Raz jeszcze przebiegłem wzrokiem przedmioty, które Koenig nazwał wczoraj „skalpami”. Dłużej wpatrywałem się w jeden z nich, ten na półce w głębi po lewej stronie. Wstrzymałem oddech. I tak jak poprzednio, zakręciło mi się w głowie. A potem wziąłem mój zegarek marki Błonie z białym kiedyś cyferblatem. Zbliżała się siódma wieczorem. Sięgnąłem po telefon. Był rozładowany. Schowałem go do bocznej kieszeni.

Henryk Koenig przypatrywał się mi uważnie.

– Nie było między nami zgodności, co z tobą zrobić. Pewne względy – wykonał gest ręką, jakby brakło mu cierpliwości, żeby wszystko tłumaczyć – sprawiły, że podjąłem taką decyzję, a nie inną. O tym później. A teraz popatrz na niego. – Skinął na mężczyznę, który znów zaczął dygotać. – Mieszka pięćdziesiąt kilometrów stąd, nazywają go Przygłupem. A wiesz dlaczego? Bo to zwykły przygłup

jest.

IQ trzy roześmiał się. Dopiero teraz zauważyłem, że nie ma górnej jedynki. Dwójka była ukruszona. Piękny Ząbek otwartą dłonią trzasnął Przygłupa w kark. Ten jęknął i osunął się na kolana.

– Więc Przygłup jest na tyle głupi, że postanowił doprowadzić ryby z mojego stawu. I dlatego tu jest. Podnieście go – zarządził Koenig. – Opowiedz, Przygłup, mojemu koledze, czym się zajmujesz?

– Pu-puszki zbieram. Z-złom też – wyjąkał Przygłup.
– P-przy owocach pomagam. I jeszcze g-grzyby.

– I kra-kradniesz cudze ry-ryby – szydził Koenig.

– R-raz. Nie dla mnie. O-obiecałem komuś...

– Drugi raz! – warknął Koenig. – Za pierwszym razem moi chłopcy wyjaśnili ci, że tak nie wolno. Żonę i dzieci masz?

– Żo-żonę i s-syna. Podstawówkę kończy...

– To może wyjdzie na ludzi. Nie tak jak ty.

Odstawił szklankę na stoliczek i położył obie ręce na oparciu fotela. Delikatnie poruszał palcami, jakby grał koncert. Pamiętałem ten jego gest. Tak samo zachowywał się wczoraj. Patrzył na roztrzęsionego złodzieja, po czym przeniósł wzrok na mnie. Dwóch osiłków nie zaszczycił spojrzeniem.

– Zrobimy tak... – Odchrząknął. – Puszczę cię. Puszczę i masz pół godziny, by opuścić mój teren. Jeśli ci się uda, jesteś wolny. Co ty na to?

Mężczyzna poruszył się niespokojnie. Troglodyci chwycili

go pod rękę.

– Gdy minie pół godziny, moi ludzie zaczną cię szukać. Tu albo w Lemanach. Albo w Szczytnie. Albo w Wielbarku. Taka forma polowania. I jak to bywa na polowaniu, może będziesz miał szczęście. Czasem nawet takim idiotom coś się trafia. Chociaż obstawiam, że jednak ci się nie uda. Wiesz, co się stanie, jeśli cię złapią?

Przygłup dyszał.

– N-nie... n-nie... Nie chcę.

– Nie chcesz? – Koenig wstał z fotela i podszedł do złodzieja. – Przecież masz w sobie żyłkę ryzykanta, skoro mnie okradasz... Więc jak to, nie chcesz? – Poklepał Przygłupa po policzku.

Podszedł do kredensu myśliwskiego i oparł dłonie na kolumnach z wyrzeźbionymi psami gończymi. Wpatrywał się w gromadzone przez lata trofea. Podziwiał swoją kolekcję, a ja kolejny raz wstrzymałem oddech. Potem wsparł się na komodzie, która stała obok. Była wykonana z jaśniejszego drewna i zdobiona rzeźbionymi strzelbami. Za pancernym szkłem naliczyłem osiem luf. Koenig miał pod ręką niezły arsenał.

– W takim razie... w takim razie mamy tylko jedno wyjście. – Wciąż stał plecami do nas. – Idź do Dziembały – nakazał Pięknemu Ząbkowi – i przynieś... Wiesz co. – Gdy osiłek wyszedł, zwrócił się do mnie: – Opowiem ci coś, Hłasko. To było w pięćdziesiątym piątym, nie, w pięćdziesiątym szóstym musiało to być, bo Gomułka doszedł już do władzy...